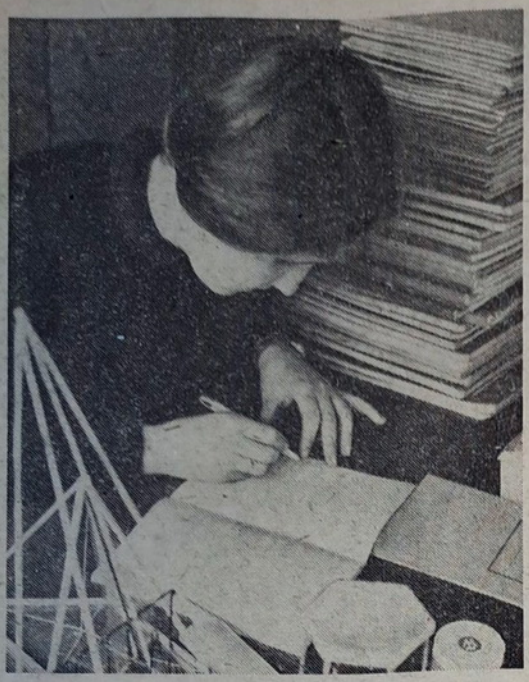

Pierwsze dwa miesiące nauki nie wszystkim przyniosły sukcesy w szkole. Ale wszyscy mają jeszcze szansę! Zwłaszcza uczniom ósmych klas powinno bardzo zależeć na dobrych stopniach na półrocze. A tymczasem nauczyciele wcale nie mają zachwyconych min nad Waszymi klasówkami...

Foto: K. Czapiński

KLUB NASTOLATKÓW

Niecodzienne spotkanie

ROZMAWIAMY o różnych sprawach, które dotyczą was, nastolatków. Ale na ten temat do Klubu nikt jeszcze nie napisał. O co chodzi?

Otóż, niedawno, bo kilka dni temu, mieliśmy przyjemność uczestniczyć w niecodziennym spotkaniu. Odbyło się ono w klasie VIIIa Szkoły Podstawowej nr 246 w Warszawie.

Spotkanie miało niezwykły charakter. W sali lekcyjnej zasiedli naprzeciw siebie rodzice, ich dzieci — uczniowie kl VIII oraz wychowawczyni, p. Julia Starczewska.

Wierzcie nam — taka konfrontacja uczniów twarzą w twarz z rodzicami i nauczycielką należy naprawdę do wyjątkowych przeżyć. Dlaczego? Na pewno i z tego powodu, że w naszych szkołach taki zwyczaj jest bardzo rzadko praktykowany.

Gdy przed spotkaniem rozmawiałam z uczniami, powiedzieli mi oni, że odczuwają taką tremę, jak gdyby mieli zdawać egzamin wstępny do szkoły średniej. Skąd takie uczucia? No, bo wtedy zarówno uczniowie dobrzy, jak i źli, zarówno ich rodzice, jak i nauczyciel — mają okazję do szczerej wymiany zdań o tym, co w klasie dobre, co złe, co cieszy i martwi, o takich różnych nawet niewinnych drobiazgach, które przecież, dobrze wiemy, można przemilczać raz w domu, raz w klasie, co zależy od sytuacji i osobistych zdolności dyplomatycznych.

A takie przemilczanie ważnych i mniej ważnych spraw w VIII klasie prowadzi, jak wiemy, do bardzo przykrego przebudzenia się na wiosnę, gdy nadchodzi czas egzaminów.

Dlatego, naszym zdaniem, inicjatywa tej klasy jest godna naśladowania. Bądźcie jej propagatorami także na terenie swoich ósmych klas. A może w innych szkołach takie spotkania też się odbywają? Jeśli tak, to jaki mają charakter? Napiszcie. (bs)

Świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 35 (1659) Warszawa, wtorek, 24 października Cena 50 gr

ciekawe

RYBA — WĘDKARZ

● Żyjące w wodach Florydy ryby nogopłetwowe łowią inne ryby odżywiające się robakami, używając na przynętę wyrostków swego ciała. Leżą bez ruchu, a tylko robakowaty koniec wyrostka — „wędki" porusza się w wodzie. Gdy inna ryba zbliża się do przynęty, wtedy ryba — „wędkarz" z zadziwiającą prędkością pochłania ją w swej paszczy.

PRACOWITE MIĘŚNIE

● Czy wiesz, że nasze mięśnie pracują nie tylko wówczas, gdy wykonujemy jakieś czynności, ale również wtedy, gdy stoimy. Ciało człowieka utrzymywane jest w pozycji pionowej aż przez 300 różnych mięśni.

WSPÓLNYMI SIŁAMI

● W Ameryce Południowej żyje gatunek pająków, które prowadzą gromadny, zorganizowany tryb życia. Podczas dnia pająki śpią, a w nocy przędą wspólnie pajęczynę. Owady, które wpadną w sieć-pułapkę, pająki spożywają oczywiście wspólnie.

SAM NA SAM Z OCEANEM

ZA ROK ma się odbyć trzeci z kolei konkurs dla samotnych żeglarzy, trzecie regaty jednoosobowych żaglówek przez Atlantyk.

Jeden z najsłynniejszych żeglarzy, Francuz Erik Tabarlyn, jest zwycięzcą poprzednich regat. Brał w nich udział na jachcie Pen Duick II, a obecnie przygotowuje już nowy jacht Pen Duick III.

W pierwszych regatach tego typu, Eric Tabarlyn brał udział na maleńkim jachcie, o powierzchni żagla wynoszącej zaledwie 13 m², a więc niewiele więcej niż żaglówka typu Pirat. Obecnie zarzucono zupełnie małe jachty w żegludze po oceanach. Słynny, samotny żeglarz z Anglii, Chichester, przygotowuje się do przyszłorocznych regat, budując jacht o powierzchni żagla 80 m² — Gipsy Moth IV. Co prawda taki jacht wymaga dużo większego wysiłku przy jego obsłudze i żelaznej kondycji fizycznej żeglarza, z drugiej jednak strony może rozwijać większą szybkość i lepiej stawia czoło sztormom.

Pen Duick III o długości 17 m, zbudowany będzie z aluminium, a powierzchnia żagli wyniesie aż 120 m²!

W regatach weźmie prawdopodobnie sześćdziesięciu samotnych żeglarzy.

W. K.

CHŁOPCY! DZIEWCZĘTA NA WAS PATRZĄ

KLUBIE Nastolatków! Nie wiem, czy zajmujesz się takimi sprawami, ale chcę napisać do kogoś, kto mnie zrozumie.

Dojeżdżam do szkoły pociągiem. Bardzo rzadko zdarza mi się spotkać chłopca, który by nie budził żadnych zastrzeżeń, tak pod względem zachowania, jak i samego wyglądu.

Jeżeli dziewczęta mogą same dbać o swoją garderobę, to chłopcy przecież też powinni. Nie mają dwóch „lewych" rączek, czy też rąk z gliny! Nic by się im nie stało, gdyby oczyścili, czy uprasowali spodnie. Koszule, proszę bardzo, mogą być kolorowe, żeby tylko były czyste. O włosach już była mowa w różnych listach.

Dlatego, proszę cię, Klubie, zaapeluj w jakiś sposób do chłopców, aby dbali o swój wygląd. (bs)

MATYLDA Z WROCŁAWIA

Nowe zwycięstwo radzieckiej nauki w Kosmosie

PO RAZ PIERWSZY NA WENUS

W ŚRODĘ, 18.X.67 r. cały świat obiegła sensacyjna wiadomość: radziecka stacja automatyczna „Wenus-4" wylądowała łagodnie na powierzchni planety Wenus. Ta data na trwałe wejdzie do historii wielkich osiągnięć człowieka. Przełamany został następny próg na drodze podboju Kosmosu.

Wenus w Układzie Słonecznym położona jest najbliżej Ziemi (poza Księżycem) i swą wielkością zbliżona jest do naszej rodzimej planety. Nazywano ją często bliźniaczą siostrą Ziemi. Dziwny paradoks — ze wszystkich planet najbardziej tajemniczą była dotąd właśnie Wenus. Nie wiedzieliśmy jaka panuje tam temperatura, jakie ciśnienie. Nikt nie widział jej powierzchni. A to dlatego, że otula ją szczelnie bardzo gruba i gęsta atmosfera. Przez teleskopy oglądaliśmy więc nie właściwą Wenus, lecz jej górne warstwy atmosfery.

Z badań prowadzonych na odległość z Ziemi i z automatycznych stacji przelatujących w pobliżu Wenus, wiedzieliśmy, że „powietrze" wenusjańskie zawiera bardzo dużo dwutlenku węgla, i że jest tam bardzo gorąco, do 300°C. Dziś, dzięki radzieckiej kosmonautyce, te dane są ścisłe. Na podstawie przesłanych przez stację „Wenus-4" meldunków wiemy, że temperatura waha się tam od 40 do 280 °C. Atmosfera Wenus składa się prawie wyłącznie z dwutlenku węgla. Natomiast tlen i para wodna stanowi zaledwie 1,5 procent wenusjańskiej atmosfery. Są to dopiero pierwsze dane, które przesłała na Ziemię radziecka stacja „Wenus-4". W najbliższym czasie należy oczekiwać kolejnych wiadomości.

Ostatnie osiągnięcie radzieckich uczonych, inżynierów, techników i robotników jest wspaniałym prezentem na 50 rocznicę Wielkiej Rewolucji Październikowej. **(bor)**

Z okazji 50-lecia Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, Poczta Polska wydała serię znaczków poświęconą radzieckim osiągnięciom naukowym. Na reprodukowanym zdjęciu znaczek wartości 60 gr, przedstawiający radziecką stację księżycową „Łuna-10".

Foto CAF

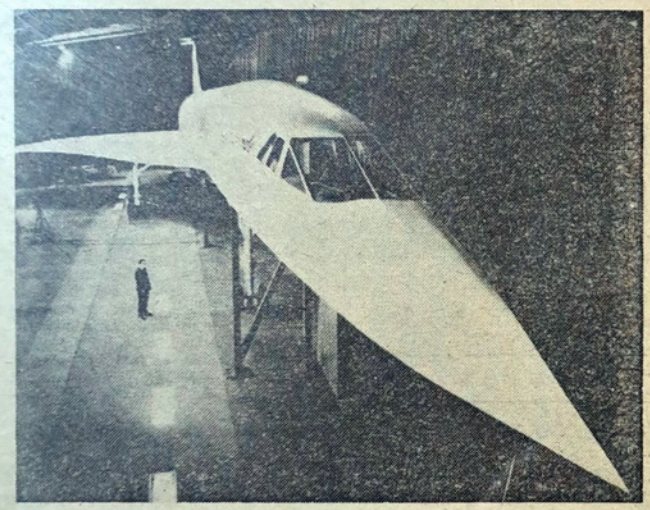

Tak wygląda makieta francusko-brytyjskiego naddźwiękowca „Concorde".

DWUKROTNIE SZYBSZE OD DŹWIĘKU

W pracowniach konstruktorskich i w fabrykach Związku Radzieckiego, Stanów Zjednoczonych oraz Anglii i Francji powstają obecnie trzy samoloty, które już wkrótce dokonają przewrotu w komunikacji pasażerskiej. Będą to superszybkie naddźwiękowce mogące pokonać Atlantyk w 2—3 godziny. Nad tymi rewelacyjnymi samolotami pracują bez przesady miliony ludzi. Tylko radziecki przemysł lotniczy zatrudnia około miliona inżynierów, techników i robotników. Stworzenie nowoczesnego samolotu supersonicznego, czyli naddźwiękowego, wymaga niewiarygodnego wysiłku i kosztów.

Jakie to będą samoloty? W Związku Radzieckim powstaje „Tu-144", w USA „Boeing-733", a w zakładach francuskich i angielskich „Concorde".

Brytyjsko-francuski „Concorde" według zamierzeń twórców ma odbyć swój pierwszy lot już w lutym przyszłego roku. Później, przez trzy lata, trwać będzie wypróbowywanie prototypów, aż dopiero w połowie roku 1971 pierwszy seryjny samolot uniesie na swoim pokładzie pierwszych pasażerów. „Concorde" ma zabierać 136 podróżnych a jego prędkość wyniesie około 2350 km/godz. (Prędkość dźwięku w powietrzu wynosi około 1200 km/godz.).

Współzawodnikiem na powietrznych trasach francusko-brytyjskiego odrzutowca będzie radziecki „Tu-144". Ma on latać z prędkością 2500 km/godz. zabierając na pokład 121 pasażerów. Pierwszy lot radzieckiego giganta odbędzie się również już w roku przyszłym.

W stosunku do tych dwóch samolotów, znacznie opóźniony jest projekt amerykańskiego naddźwiękowca. Przez długi czas rząd USA nie mógł się zdecydować na wybranie dwu projektów złożonych przez dwie różne wytwórnie. W końcu zwyciężył Koncern Boeinga. Samolot będzie miał wydłużony, ostro zakończony kadłub (długość: 90,8 m). Skrzydła będą mogły zmieniać w locie swój kąt nachylenia, a więc odchylać się i składać. Rozwiązanie takie zwiększa sprawność odrzutowca, ponieważ pozwala dostosować kształt skrzydeł do zmiennych warunków lotu. Przy projektowaniu samolotów supersonicznych zachodzi pewna sprzeczność. Im szybciej ma poruszać się maszyna, tym skrzydła jej powinny przybierać kształt wydłużonej delty, zmniejszającej znacznie opór powietrza. Ale z kolei samolot z takimi skrzydłami miałby kłopoty w czasie lądowania i startu, kiedy jego szybkość jest znacznie mniejsza od prędkości dźwięku. Ruchome skrzydła rozwiązują tę sprzeczność, bo raz mogą przybierać kształt skrzydeł tradycyjnych, lub też kształt delty.

„Boeing-733" ma osiągać prędkość około 3000 km/godz. i zabierać na pokład od 227 do 300 pasażerów. Będzie to więc samolot lepszy od konkurencyjnych. Amerykanów jednak to nie cieszy, martwią się bowiem kilkuletnim opóźnieniem w stosunku do postępu prac w Związku Radzieckim i w kooperacyjnych zakładach lotniczych francusko-brytyjskich. Nim ruszy produkcja supersonicznego „Boeinga-733", przez 3—4 lata królować będą w powietrzu naddźwiękowe „Tupolewy" i „Concordy".

Konstruktorzy naddźwiękowców uporali się z pokonaniem tzw. bariery wysokości, wytrzymałości materiałów i z barierą cieplną. Do dziś jednak nie mogą poradzić sobie z problemem hałasu. Samolot pędzący z prędkością naddźwiękową wywołuje za sobą dosłownie lawinę grzmotów spowodowanych przez fale uderzeniowe. Próby wykazały, że regularnie powtarzające się grzmoty naddźwiękowe mogą okazać się nie do zniesienia dla ludzi mieszkających pod korytarzem powietrznym i to w pasie o szerokości aż 70 km. Fala uderzeniowa powstająca podczas przelotu takiej maszyny wybija szyby w oknach, wyrywa ze snu. Konstruktorzy supersoników mają jednak nadzieję, że wysoki pułap lotu planowany dla tych samolotów (około 20 km) spowoduje, że hałas będzie mniej dokuczliwy.

(bor)

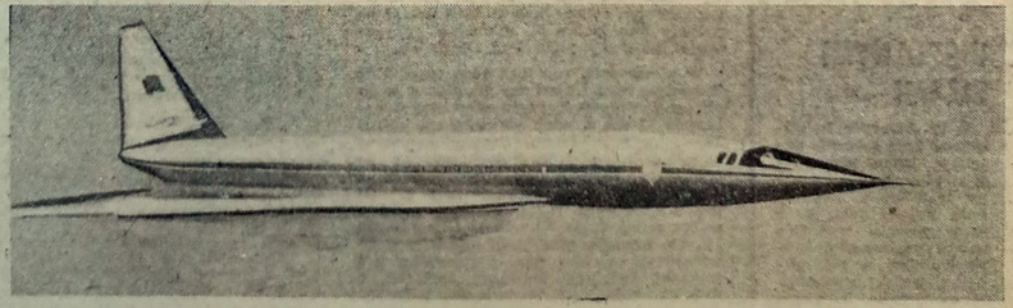

A oto projekt radzieckiego samolotu „Tu-144", który już w roku przyszłym wzniesie się po raz pierwszy w powietrze.

Przyjaciółki

ZA OKNEM PADAŁ DESZCZ. Niedziela. Postanawiam odłożyć powtórzenie lekcji na wieczór, a teraz biorę do ręki książkę. Litery rozmazują się, myśli stale wracają do tej samej sprawy.

Jakże mogłam tak lekkomyślnie postąpić? Do tej pory obie z Ewą uchodziłyśmy za parę przyjaciółek. Kino, spacery, wspólna nauka. Ona miała trochę trudności z lekcjami, ale ja pomagałam, tłumaczyłam jej, podtrzymywałam na duchu.

Nauczycielka od matmy miała wkrótce odejść do innej szkoły. Ewa zarobiła u niej już dwie dwóje.

...Zrobiłam to przy pierwszej okazji. Korzystając z podobieństwa pisma nauczycielki do mego, wstawiłam przy nazwisku Ewy czwórkę z matematyki. Matematykę miał teraz u nas wykładać nowy nauczyciel. Wysoki, pogodny, sympatyczny. Moja koleżanka zupełnie niespodziewanie zaczęła przy nim uczyć się matematyki bardzo zresztą gorliwie.

Była lekcja fizyki. Nauczycielka długo patrzyła na stronę z naszymi ocenami, gdzie były też stopnie Ewy. Nagle podniosła wzrok i spojrzała na Ewę.

— Kto ci wstawił ocenę dobrą z fizyki? — zapytała. Zdębiałam. Nauczycielka tym samym tonem mówiła dalej:

— Podobne cyfry pisze pani Budziszowa, ale ona odeszła od nas, a twój stopień jest świeży.

Zrozumiałam. Zamiast wpisać czwórkę z matematyki, wpisałam ją z fizyki. Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Pani spojrzała uważnie na mnie. Wymówiłam się bólem głowy. Nie mogłam nic lepszego wymyślić. Wyszłam z klasy. Oparłam się na korytarzu o ścianę. Przymknęłam oczy. Przez głowę przelatywały mi tysiące myśli i głucho dudniło imię Ewy.

— Co ci jest, Elu?

Otworzyłam oczy. Obok stał matematyk.

— Nic, źle się czuję, głowa...

Skierował mnie do pokoju lekarskiego, sam poszedł na lekcję do Va. Tak, oto wszyscy dowiedzą się o tym. Przeniosą mnie do innej szkoły, a ze sprawowania dostanę cztery.

Koniec przyjaźni! Koniec! Nagle poczułam czyjąś rękę na ramieniu, była to wychowawczyni.

— Chodź ze mną. Porozmawiamy.

Głowa mi pęka, ale jeśli czeka mnie rozmowa z wychowawczynią, to pewnie Ewa przyznała się...

— To ty wpisałaś ten stopień, prawda?

— Tak, proszę pani — i monotonnie opowiadam o wszystkim.

— Popełniłaś duży błąd. Bardzo ci się dziwię, Elu...

— Co będzie? — pytam.

— Co będzie? — nauczycielka zamyśla się głęboko.

— Rodzicom nic nie mówić?

— Nie, z rodzicami sama porozmawiam na zebraniu w niedzielę — odpowiada pani.

I oto niedziela. Mijają godziny, na każdy odgłos kroków wstrząsa mną dreszcz. Pierwsza wchodzi mama.

— Tak ratowałaś koleżankę? Patrzy na mnie, a ja powtarzam tylko słowa: „Byłam głupia, bardzo głupia..."

Deszcz pada mocniej. Za oknami zawodzi jesienny wiatr, jakby rozmyślnie chichotał i naigrawał się ze mnie.

„ELA"

OD KLUBU NASTOLATKÓW

To opowiadanie napisała Wasza koleżanka z Warszawy. Podobało się? Napiszcie, czy lubicie czytać opowiadania „z życia", napisane przez swoich rówieśników.

Rys. J. Rocki

Chciałbym być komuś potrzebny

CIEKAWY JESTEM, czy zdaje się wam kiedykolwiek, że jesteście zupełnie niepotrzebni. I w dodatku przy tym wiecie, że tak naprawdę — to przydalibyście się do tego lub owego, ale wszystko dokoła tak się układa, że nikt nie chce od was żadnej pomocy.

— Straszne uczucie — powiecie i będziecie mieli rację.

Tak właśnie ja się czuję. Przychodzę do szkoły, widzę kolegów rozmawiających ze sobą. Zachowują się tak naturalnie. Jak bardzo chciałbym też się tak zachowywać! Śmieją się, hałasują. Na mnie nikt nie zwraca uwagi, ot, „żyj człowieku, jak chcesz".

Chciałbym podejść do jakiejś grupki i zachowywać się jak inni, ale COŚ mnie wstrzymuje i każe stać na uboczu. Myślę: „Gdyby oni chcieli ze mną poważnie rozmawiać — sami podeszliby do mnie. Ja się nikomu nie będę przecież narzucał".

Chłopcy organizują wspólny wypad nad jezioro. Też chciałbym iść razem z nimi. Ale w jaki sposób mam pierwszy podejść do nich i jakby nigdy nic powiedzieć: „Ja też chcę iść nad jezioro". Wiem, że takie słowa nie przeszłyby mi przez gardło. Żeby tak oni mi pierwsi zaproponowali! Jakie wtedy wszystko byłoby proste.

Mówią do mnie:

— Co ty tak z nikim nie gadasz? Kluski masz w gębie? Mama nie pozwoliła?

Nie zdążę odpowiedzieć, bo taki jeden z drugim klepią mnie po plecach i uciekają do swoich spraw. Co tam ja ich obchodzę!

Na lekcji siedzę i rozmyślam. W klasie jest nas trzydziestu. Jeden bardziej wygadany od drugiego. Niektórzy są bardzo zdolni. Piątkowi. Cóż więc znaczę w tej dużej klasie? Czy nauczyciel może mnie wyłowić z tak dużej ilości uczniów? Czy może poświęcić uwagę tylko mnie!? A ja przecież umiem wiele rzeczy i zdaje mi się, że również sporo rozumiem, może nawet więcej niż moi koledzy.

I oto pyta mnie nauczyciel. Wstaję. Słowa nie potrafię powiedzieć. Wszystko mi się poplątało i nawet nie pamiętam, jakie było pytanie. Śmieją się ze mnie w klasie.

— Siadaj, Witkowski. Znów nie przygotowałeś się do lekcji. A przecież to takie proste.

Siadam i... olśnienie — od razu sobie wszystko przypominam. Właśnie, jakie to proste! Mógłbym wyśpiewać całą odpowiedź. Więc co się ze mną dzieje?

Są chyba na świecie takie miejsca, gdzie naprawdę jest zupełnie inaczej. Gdzie są prawdziwi koledzy, którzy nie zostawiają takich jak ja na uboczu. Bo w czym jestem od nich gorszy?

Marzę więc o miejscach, gdzie wszyscy by mnie lubili. Gdzie nie czułbym się tak samotnie. Gdzie podobałoby się wszystkim moje postępowanie. Gdzie inni mieliby czas, aby ze mną porozmawiać i do samego końca zrozumieć.

Chyba ucieknę stąd i pojadę na drugi koniec kraju, w góry, do jakiejś zabitej deskami wioski. Może tam mi będzie dobrze? Nigdy nic nie wiadomo...

To oczywiście nonsens, ale ja tak myślę. Najczęściej wtedy, kiedy wracam samotnie do domu i zaczepiam butami o zeschłe liście.

Chciałbym być komuś potrzebny. Wówczas wiedziałbym, jak rozmawiać z kolegami. Nie wstydziłbym się. Wówczas miałbym nawet dużo do powiedzenia. No właśnie, ale w jaki sposób mogę stać się potrzebnym? Sam nie wiem...

WITOLD KAISER

KLUB NASTOLATKÓW ZAPYTUJE

Kto z Was odpowie Markowi Witkowskiemu na jego pytanie? Kto z Was napisze do niego na adres redakcji? Co mu poradzicie?

Łowca SKARBÓW

TAJEMNICA POZŁACANEJ KULI

● Chciałabym podzielić się przyjemną wiadomością — pisze w liście do redakcji Danka Cholecka z Rawicza.

Otóż w naszym mieście znajduje się zabytkowy ratusz barokowy. Został on zbudowany w latach 1753—1754. Ostatnio prowadzone były prace nad odnowieniem tego zabytku. Przy pracach blacharskich, prowadzonych na ratuszowej wieży, grupa wykonawców wydobyła z głębi pozłacanej kuli dwie puszki.

Puszki te zawierały ciekawe dokumenty, a wśród nich ręcznie pisany w języku łacińskim akt założenia i początków Rawicza oraz budowy ratusza, a także stare monety polskie z 1753 r., z czasów panowania króla Augusta III Sasa.

W miejsce tych wydobytych przedmiotów włożono pracę dr Waleriana Sobisiaka „Dzieje Ziemi Rawickiej" oraz 42 monety Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, łącznie ze srebrną 100-złotówką wydaną z okazji Tysiąclecia Państwa Polskiego. (bs)

PACIORKI EGIPSKIE NA LUBELSZCZYŹNIE

● Ekipa archeologów z Muzeum Państwowego w Lublinie prowadząca poszukiwania na grodzisku w pobliżu wsi Horodysko, w pow. Chełm Lubelski, odkryła cenne znalezisko zawierające większą ilość ozdób kobiecych, a wśród nich ceramiczne paciorki egipskie, ozdobną tarczkę i wisiorki z miedzi. Podobne paciorki odnajdywano w dawnych grobowcach na terenie Polski, nigdy jednak w tak dużej ilości. Podczas wykopalisk natrafiono także na metalowe noże, groty do strzał, siekierkę, ciężarki do sieci rybackich i inne przedmioty pochodzące z lat 1900—1800 przed naszą erą. (jk)

SKARB POD PODŁOGĄ

● Podczas remontu zabytkowego klasztoru w Wąchocku koło Starachowic, natrafiono pod podłogą refektarza na skarb średniowiecznych monet, naczyń liturgicznych, wyrobów z porcelany i ceramiki oraz wiele innych przedmiotów z XV i XVI wieku. Wiele tych przedmiotów jest ozdobionych złotem, kością słoniową lub brązem. Unikatem znalezionym pod klasztorną podłogą jest wspaniale inkrustowany zegar słoneczny z XVII w. (jk)

Pan Stanisław Sakławski, twórca izby regionalnych pamiątek, demonstruje wagę, którą udało mu się zdobyć w jednej ze wsi, gdzie jeszcze doniedawna była w użyciu. Nikt już jednak takich rzeczy dziś nie wytwarza. Te zaś, które są, idą w zapomnienie. Ta trafiła do muzeum i jest jednym z eksponatów budzących zainteresowanie.

młodu i prowadzenie szynkowni za pewną opłatą dworowi.

Obok, następna gablota, to cały skarbiec monet, a wśród nich najstarsza, z roku 1509, z wizerunkiem króla Zygmunta Starego i z 1591 r. (okres panowania Zygmunta III Wazy). Są tu również banknoty — ruble carskie, polskie marki, pieniądze będące w obiegu przed wojną, podczas okupacji i banknoty z pierwszego okresu Polski Ludowej.

Część eksponatów i sporządzone przez p. Sakławskiego wykresy obrazują zajęcia ludności. W tym dziale można się dowiedzieć, ilu było przed wojną w Józefowie kowali, stolarzy, kołodziejów, powroźników, czapników, rymarzy, zegarmistrzów itp. Z zaciekawieniem odnotowałem, że w osadzie było wówczas trzech nosiwodów...

Dzięki skrupulatności pana Sakławskiego, który z pewnością zasługuje na miano prawdziwego kronikarza swego miasteczka, poznałem ze zgromadzonych tu zdjęć historię drużyn harcerskich działających przed wojną w Józefowie, koła „Wici", dziecińca, który prowadziło koło gospodyń, straży pożarnej...

Osobną historię stanowią pamiątki z okresu okupacji. Jedne przedstawiają tragedie ludności żydowskiej Józefowa, inne świadczą o podjętej i prowadzonej przeciwko okupantowi walce partyzanckiej. Można tu

czna do tłuczenia kaszy, żarna do mielenia zboża, pług na kołach o drewnianych osiach, ręcznie rzeźbione krzesło dębowe, basetla i wiele innych przedmiotów liczących sobie ponad sto lat.

Niektóre z nich trafiły tu w podarunku dla izby pamiątek od klientów pana Sakławskiego, przychodzących z zamówieniami do jego stolarni. Znają oni bowiem niezwykłe hobby pana stolarza. Inne zaś zdobył pan Sakławski podczas zimowych wypraw do okolicznych wsi, o których wiedział, że tam właśnie znajdują się jeszcze przedmioty zasługujące na uratowanie od zniszczenia i zapomnienia.

Pan Sakławski ma już 65 lat. Wie, że dużo jest jeszcze do zrobienia w dziedzinie utrwalenia historii regionu józefowskiego. Spieszy się, póki jeszcze dopisują siły. Marzy o tym, żeby wzbogacić to niezwykłe muzeum w ul wydłubany w pniu drzewa (jest taki podobno w jednej ze wsi), w warsztat tkacki, używany niegdyś w tych stronach. Pragnąłby też odnaleźć gdzieś chociaż jeden z ponad siedemdziesięciu radioodbiorników kryształkowych, które przed wojną sam majstrował na zamówienia mieszkańców okolicznych wsi. Projektuje też wykonać przy pomocy młynarza ze wsi Mariampol dokładną kopię (wysokości dwu metrów) wiatraka, jako reliktu przeszłości ziemi józefowskiej.

WRZESIEŃ 1939 ROKU zostawił krwawe piętno na Józefowie, niewielkiej osadzie leżącej na wysokim brzegu Wisły, w powiecie puławskim. Już w pierwszych dniach wojny spadły na Józefów hitlerowskie bomby, czyniąc spustoszenie w jego biednej zabudowie. Reszty zniszczenia dokonały w kilka dni później nowe eskadry niemieckich samolotów, które odkrywszy przeprawiające się tędy, przez Wisłę, oddziały polskie wycofujące się na wschód, ponownie zbombardowały osadę. W poświacie płonących domów, pod osłoną nocy przemykały wówczas u podnóża Józefowa, w górę Wisły, barki ze skarbami kultury polskiej, które pracownicy Muzeum Narodowego ewakuowali z płonącej Warszawy, by je ukryć przed wrogiem.

Pan Stanisław Sakławski, józefowski stolarz, był świadkiem tych wydarzeń. Właśnie wówczas, w latach wojny, zrodziła się u pana Sakławskiego niezwykła pasja — zbierania, chronienia od zapomnienia różnych przedmiotów, które świadczą o kulturze i przeszłości józefowskiego regionu.

W stolarni na Parkowej

DZIŚ KAŻDY MIESZKANIEC Józefowa, każde nieomal dziecko, zna i potrafi wskazać drogę do domku stolarza, który w swoim warsztacie i w części mieszkania urządził izbę pamiątek regionalnych. Eksponaty zgromadzone w muzeum pana Sakławskiego opowiadają o dawnej, sprzed wieków, przeszłości miasteczka, o czasach sprzed I wojny światowej, z okresu międzywojennego i o czasach najnowszych; o życiu i kulturze mieszkańców Józefowa i okolicznych wsi.

W oszklonych gablotach, własnoręcznie wykonanych, stolarz-muzealnik umieścił wyszperane gdzieś najstarsze wiadomości o Józefowie. Jedna z nich opowiada, jak to król August II, w dokumencie z dnia 31 maja 1710 r., zezwolił miastu na pobudowanie łaźni, woskobojni, kramów obok ratusza, palenie wódki, warzenie piwa, sycenie

obejrzeć odznaczenia wojskowe i zdjęcia partyzantów, szkice i opisy bitew stoczonych z wrogiem, hełmy po poległych od kul partyzanckich faszystach i resztki ich oporządzenia.

Pan Sakławski, z nie mniejszą pasją odnotowuje również współczesną historię Józefowa. Wykonywanie fotografii coraz to innych odbudowywanych domów, obiektów gospodarczych, nowych inwestycji to wielka pasja człowieka, który ukochał swoją osadę i cieszy się każdym jej osiągnięciem.

Wyprawy po skarby

NA UPORZĄDKOWANIE i odpowiednie wyeksponowanie czekają w warsztacie stolarskim pana Sakławskiego przedmioty i różne urządzenia gospodarstwa domowego, pochodzące z okolicznych wiosek. Leżały dotychczas na strychach, w komorach, spichlerzach — już bezużyteczne, zapomniane, marniejące. Jest tu więc pług drewniany z jedyną metalową częścią — lemieszem, jest stępa ręczna do tłuczenia kaszy, żarna do mielenia zboża, pług na kołach o drewnianych osiach, ręcznie rzeźbione krzesło dębowe, basetla i wiele innych przedmiotów liczących sobie ponad sto lat.

Niektóre z nich trafiły tu w podarunku dla izby pamiątek od klientów pana Sakławskiego, przychodzących z zamówieniami do jego stolarni. Znają oni bowiem niezwykłe hobby pana stolarza. Inne zaś zdobył pan Sakławski podczas zimowych wypraw do okolicznych wsi, o których wiedział, że tam właśnie znajdują się jeszcze przedmioty zasługujące na uratowanie od zniszczenia i zapomnienia.

Pan Sakławski ma już 65 lat. Wie, że dużo jest jeszcze do zrobienia w dziedzinie utrwalenia historii regionu józefowskiego. Spieszy się, póki jeszcze dopisują siły. Marzy o tym, żeby wzbogacić to niezwykłe muzeum w ul wydłubany w pniu drzewa (jest taki podobno w jednej ze wsi), w warsztat tkacki, używany niegdyś w tych stronach. Pragnąłby też odnaleźć gdzieś chociaż jeden z ponad siedemdziesięciu radioodbiorników kryształkowych, które przed wojną sam majstrował na zamówienia mieszkańców okolicznych wsi. Projektuje też wykonać przy pomocy młynarza ze wsi Mariampol dokładną kopię (wysokości dwu metrów) wiatraka, jako reliktu przeszłości ziemi józefowskiej.

Nieocenieni pomocnicy

NIEOCENIONYMI POMOCNIKAMI pana Sakławskiego są uczniowie miejscowej szkoły, którzy chętnie i często odwiedzają jego stolarnię, w części zamienioną na izbę regionalnych pamiątek. To oni są głównymi informatorami, gdzie i u kogo znajdują się stare i ciekawe przedmioty, sami też przynoszą ze swoich domów stare żelazka na węgiel drzewny, odważniki, lampy, starodawne świeczniki, czy jakieś wręcz drobiazgi z szuflad i kufrów, które dopiero tu, w izbie pamiątek, w zestawieniu z innymi eksponatami, nabierają muzealnej wartości.

Pan Sakławski prosił „Świat Młodych", aby w jego imieniu podziękował dziewczynkom i chłopcom za ich wysiłek i postawę we współtworzeniu izby pamiątek, która tak żywo odzwierciedla historię ich osady i okolicznych wsi. Historię ich pięknego regionu.

JERZY KASPRZAK

Zdjęcia autora

HASŁO:

MOJE MUZEUM

CZY POSIADASZ JAKIEŚ SKARBY? Jeszcze nie wiesz? Zajrzyj więc najpierw do szuflady biurka, popatrz w kredensie, pomyszkuj po strychu i piwnicy. Zapytaj rodziców, ciocię, babcię. A o co zapytasz? — O wszystko co trąci myszką, a więc jest już prawie historią. Zgromadź znalezione przez siebie i godne uwagi skarby w jednym miejscu, w kąciku pokoju i zbierz o nich dokładne informacje od rodziny, czy ofiarodawców. Przekonasz się wówczas, że się za tymi skarbami kryje ciekawych opowieści, zdarzeń...

Zachęć kolegów, niech też poszperają w swoich domach. Możecie przecież wspólnie zorganizować małe muzeum — historyczne — osobliwości — przyrodnicze — wojskowe — ludowe. Albo wszystko razem, z takimi właśnie działami.

A może dojdziecie do wniosku, że niejeden z tych skarbów mógłby znaleźć poczesne miejsce w regionalnej izbie pamiątek albo w muzeum.

Pomyśl o tym. Zastanów się w gronie swych przyjaciół nad tą propozycją. I napisz do nas. Dziś właśnie otwieramy księgę, w której będziemy odnotowywać najciekawsze historie domowych skarbów. Czekamy na meldunki od ciebie i twoich kolegów.

HASŁO: „MOJE MUZEUM".

Nabytki, które ostatnio trafiły do izby pamiątek, stoją na razie w kuchni, na półce. Pochodzą one z zabytkowego starego kościoła z pobliskiej wsi Rybitwy. Ofiarodawca twierdzi, że figury świątków pochodzą z 1487 roku.

ANAKONDA

ANAKONDA trzymana w ten sposób nie może się ruszać, a więc przestaje być groźna — twierdzi ten pan, widoczny na zdjęciu. My jednak woleli'byśmy nie sprawdzać. Ten słodkowodny wąż z rodziny dusicieli nie wzbudza naszego zaufania, tym bardziej, że opowiadają o nim straszne historie.

Jest olbrzymi i ma kolosalną siłę. Ten na zdjęciu ma podobno 9,25 m długości, ale mieszkańcy Ameryki Południowej opowiadają i o takich, które sięgają 17 albo i 18 metrów. Sprężyste ciało węża-dusiciela opasuje swoją ofiarę żelaznym pierścieniem i wyrwać się z objęć anakondy nie sposób, mała więc pociecha, że wąż nie jest jadowity. Imponującym jest fakt, że znalazł się człowiek, który pozował do fotografii, uwikłany w długie ciało anakondy. Ten okazały egzemplarz węża dusiciela znalazł on na jednej z wysp w delcie Amazonki.

INDYJSKA WIEWIÓRKA

JEST TAKA SAMA jak nasza, tylko futerko ma w paski. Jak widać na zdjęciu równie i indyjskie wiewiórki najbardziej lubią orzechy, choć nie gardzą suchym chlebem. Ta, przywieziona przez pewnego podróżnika, zadomowiła się w jego rodzinie. W istocie jednak zarówno nasza wiewiórka jak i indyjska nie przyzwyczajają się do ludzi na stałe i korzysta z każdej okazji, aby móc prysnąć do lasu. Każdy więc prawdziwy przyjaciel tego sympatycznego zwierzątka nie więzi go na siłę przy sobie i woli patrzeć, jak zwinnie skacze z drzewa na drzewo, ciesząc się swobodą.

ULICA IMIENIA...

● W Phnom Penh, stolicy Kambodży, panuje zwyczaj, że każdy mieszkaniec kraju może uzyskać prawo nazwania jednej z ulic miasta swoim nazwiskiem. Ale pod jednym warunkiem — musi najpierw tę ulicę wybrukować na swój koszt.

LEKARZ PTAKÓW

● 13-letni Reg Wilson mieszkający w Geelong (Australia), od sześciu lat uprawia niezwykłe hobby: zabawia się w lekarza ratującego pokaleczone ptaki. Wyszukuje je, opatruje, leczy, będąc jednocześnie chirurgiem, sanitariuszem i pielęgniarzem. Gdy ma zbyt wielu pacjentów odwołuje się do pomocy rodziców, rodzeństwa lub kolegów. Na podwórzu jego domu powstał prawdziwy szpital. Pacjenci czują się w nim tak dobrze, że po wyleczeniu nie chcą go opuszczać.

KRÓTKOWIDZE?

● Zwykła mucha domowa widzi na odległość 40—70 centymetrów, a ważka dostrzega przedmioty oddalone o 150—200 cm. Natomiast zasięg wzroku muchy tse-tse, przenoszącej w Afryce Równikowej zarazki groźnej choroby śpiączki, wynosi 135 metrów.

PACJENT Z MORZA

● Niebywała historia zdarzyła się na wodach południowego Atlantyku. Mors napadnięty i zraniony przez rekina, szukał schronienia i ratunku na pokładzie radzieckiego statku „Prokofjewsk". Marynarze, widząc co się dzieje, szybko opuścili trap i pomogli zwierzęciu wydostać się z wody. Lekarz okrętowy zeszył ranę na ciele morsa. Po tygodniowym pobycie na statku, niezwykły „pasażer" powrócił do zdrowia i wypuszczony został na wolność.

PRACOWITE MRÓWKI

● Stwierdzono, że czerwone mrówki, zamieszkujące średniej wielkości mrowiska, niszczą w ciągu lata od 3 do 5 milionów owadzich szkodników. Dlatego też na nowo zalesione obszary w dolnym biegu Dniepru, gdzie brak jest mrówek, zaczęto sprowadzać je z innych okolic. Mrówki szybko zadomawiają się i w ciągu dwóch dni potrafią zbudować sobie mrowisko.

OBCA PLANETA

A. WALENTYNOW
Tłum. Lech Błażejewski

MAMY JĄ — powiedział cicho Michał. Myślałem, że ryknie, ciśnie mapę o podłogę lub przynajmniej puści się w pląsy po kabinie nawigacyjnej, ale powiedział tylko: „Mamy ją" i zamarł przed ekranem.

— Zbliż się wreszcie, popatrz — zawołał do mnie, nie odwracając głowy, jakby w obawie, że planeta zaraz zniknie. Chciałem wstać, ale nie mogłem się ruszyć — wzruszenie obezwładniło wszystkie mięśnie. Nie mogłem nawet wydusić z siebie jednego słowa. Patrzyłem na ekran, jak na cud. Białe pudełeczka budynków, prostokąty pól, ciemne pajęczynki dróg. Planeta była zamieszkana! Bajecznie realna i nieprawdopodobnie prawdziwa krążyła w promieniach błękitnej gwiazdy, a my unosiliśmy się nad nią na wysokości pięciuset kilometrów.

— Jeśli tam nie będzie odpowiedniej dla nas atmosfery, ja tego nie przeżyję — rzekł Michał. Te dziecinne słowa przyprawiały mnie o rumieniec wstydu za siebie i za niego. Kto jak kto, ale astronauci powinni mieć mocniejsze nerwy. Widocznie odezwały się długie lata anabiozy. Zmobilizowałem się wewnętrznie i poczułem, że znowu jestem gotów na wszelkie niespodzianki. Z zadowoleniem stwierdziłem, że Michał, choć dowódca, jeszcze do tej pory nie doszedł do siebie.

Stał wciąż przed ekranem, a na jego bladej twarzy odbijało się całe mnóstwo sprzecznych uczuć. Drogi, budynki niewiele jeszcze mówią. Świadczą tylko o istnieniu cywilizacji. Ale jakiej?

— Przygotuj szalupkę, polecę — rozkazał nagle Michał. — O, tego już za wiele! Kosmonauta, który nawet odkryje zamieszkaną planetę, nie ma prawa sflaczeć aż do tego stopnia. Postanowiłem już teraz przywołać go do rozsądku, choćby to miało wyjść dosyć szorstko. Demonstracyjnie wyciągnąłem rękę ku bocznej ścianie. Tam w przezroczystej szafce połyskiwał plastykową okładką gruby Kodeks Prawa Kosmicznego — wyrocznia dla każdego kosmonauty.

Michał zaczerwienił się z lekka, a później spochmurniał. Mierząc go surowym spojrzeniem, wyrecytowałem z pamięci:

— „Rozdział piętnasty: Pierwszy kontakt z nowo odkrytą planetą, punkt piąty, podpunkt C: Przed pierwszym kontaktem wysyła się laboratorium automatyczne celem pobrania analiz i pomiarów radiacyjnych".

Michał spojrzał na mnie tak jakoś dziwnie, jakby mnie widział po raz pierwszy w życiu.

— Wiesz, jesteś zabawny, coś w tobie jest takiego... Żałuję, że ostatnie dwadzieścia lat tak lekkomyślnie przespałem. Należało przez ten czas lepiej się poznać!

I gwałtownym zwrotem opuścił kabinę. Wzruszyłem ramionami i poszedłem za nim. Michała korciło, żeby puścić się biegiem, a ja umyślnie zwalniałem kroku i musiał iść obok, wyprzedzając mnie najwyżej o stopę. Czułem, że nienawidzi mnie w tej chwili, ale postanowiłem okiełznać go dla jego własnego dobra i dla dobra całej naszej ekspedycji. A zresztą już we wstępie do Kodeksu Praw Kosmosu mówi się wprost, że zbytni pośpiech — to zguba dla kosmonauty. Skierowaliśmy się do pustej komory. Owalne, wyłożone sprężystym plastykiem korytarze powoli przesuwały się obok nas, rozgałęziały, zakręcały i nie od razu odnajdowaliśmy właściwą drogę wśród tej plątaniny.

Dwadzieścia lat w anabiozie. Rozbudziły nas automaty. Z zamgloną jeszcze świadomością, chwiejąc się na miękkich nogach, popędziliśmy do nawigacyjnej, ujrzeliśmy planetę. I oto okazuje się, że zapomnieliśmy już, jak wygląda nasz statek. A znaliśmy go przecież jeszcze z ław studenckich. Był to zwykły, seryjny kosmolot klasy „Mały Smok" i kiedyś, na uczelni, poznawaliśmy go jako ostatni krzyk techniki. Wtedy moglibyśmy chodzić po nim z zamkniętymi oczami.

„Mały Smok" miał tylko jedną rakietę — „szalupkę ratowniczą". Według założeń konstruktorów załoga w razie awarii statku mogła przeżyć w niej bardzo długo. Cały szkopuł w tym, że jak stąd żadna załoga podczas awarii nie zdążyła do niej dotrzeć. Kosmos nie daje czasu na dłuższe spacerki. Toteż rakiety używano właściwie tylko do celów zwiadowczych.

Gdy manipulowałem dźwigniami zdejmującymi ją z łoża, Michał wszedł do środka i dał polecenia pilotowi automatycznemu i laboratorium.

— Ubierz się, nigdy nic nie wiadomo — mruknął ponuro, podchodząc do szafy ze skafandrami. Mógł mi tego nie przypominać. Sam wiem, że przy otwieraniu śluz komory przepustowej należy nałożyć skafandry. Za fioletową szybą hełmu twarz Michała wyglądała jeszcze bardziej ponuro.

„Dziwak — pomyślałem. — Czekaliśmy dwadzieścia lat, poczekamy jeszcze tych parę godzin".

Lekki wstrząs oznajmił, że rakieta wystartowała. Po zrzuceniu skafandrów pobiegliśmy do nawigacyjnej. Rakieta oddalała się, stopniowo tracąc wysokość. Piętnaście razy okrąży planetę, nim wejdzie w gęste warstwy atmosfery, gdzie będzie mogła pobrać próbki do analiz. A Michał nie powinien przez ten czas tak miotać się po kabinie. Postanowiłem jeszcze raz dać mu przykład opanowania i wyciągnąłem „Kodeks", by odświeżyć w pamięci kolejność czynności przy pierwszym kontakcie.

— Tylko tak dalej! — rzekł złośliwie Michał. — Przecież obecnie nie ma nic ważniejszego, niż wiedzieć, co „Kodeks" poleca uczynić na wstępie: czy podać rękę na powitanie, czy może powiedzieć: „Dzień dobry"?

— A tobie może zrobić zastrzyk uspokajający? — spytałem chłodno, choć wszystko aż wrzało we mnie.

Odwrócił się i poszedł do ekranu. Ja też spojrzałem w tamtą stronę. Przelatywaliśmy nad nocną stroną planety, pełną ostrych światełek. Wyglądało to jak dywan pokryty jasnymi i ciemnymi plamami. Nagle Michał westchnął i jakoś od razu oklapł.

— A niech ich diabli! Nawet im się nie śni, że do ich planety puka obca cywilizacja — powiedział z nerwowym uśmiechem.

— To trudno przewidzieć — wyraziłem ostrożnie sprzeciw. — Możliwe, że dostrzegli nas, a obecnie gorączkowo szykują się do odparcia „agresji". Nie na darmo „Kodeks Praw Kosm..." Znowu spojrzał na mnie tak jakoś dziwnie i odwrócił się.

Planeta obracała się z wolna. Przesunęła się miękka wstęga półcienia, odkrywając białe miasta zalane błękitnym światłem. Gdzieniegdzie lśniły morza i jeziora. Lecz w zasadzie wody było mało. Naliczyliśmy wszystkiego pięć czy sześć większych rzek. Pewnie dlatego brak było chmur w atmosferze. Nad tutejszymi mieszkańcami niebo zawsze było pogodne.

A później dostrzegliśmy naszą rakietę. Wracała. Michał był tak podniecony, że nie mógł się doczekać powrotu i zażądał wyników przez radio. W miarę pojawiania się na ekranie cyfr twarz mu się rozjaśniała.

„Masa — 0,98 ziemskiej. Promieniowania brak. Temperatura — ok. plus 20 C. Atmosfera..."

— Hurra! — wrzasnął Michał. — Można oddychać!

Wtedy i ja miałem chęć ruszyć w tany. Bracia w tlenie — to na pewno też bracia po krwi. Mówiąc szczerze baliśmy się spotkania z obcą cywilizacją — powstałą w wyniku ewolucji jaszczurów lub istot zbudowanych na bazie krzemoorganicznej, czy jeszcze czegoś w tym rodzaju. Oczywiście, każdy kontakt jest cenny dla nauki, lecz my tak pragnęliśmy napotkać coś swojskiego, bliskiego. O tym, że moglibyśmy trafić na planetę w ogóle niezamieszkaną — woleliśmy wcale nie myśleć.

Cdn.

Rys. W. Lewiński

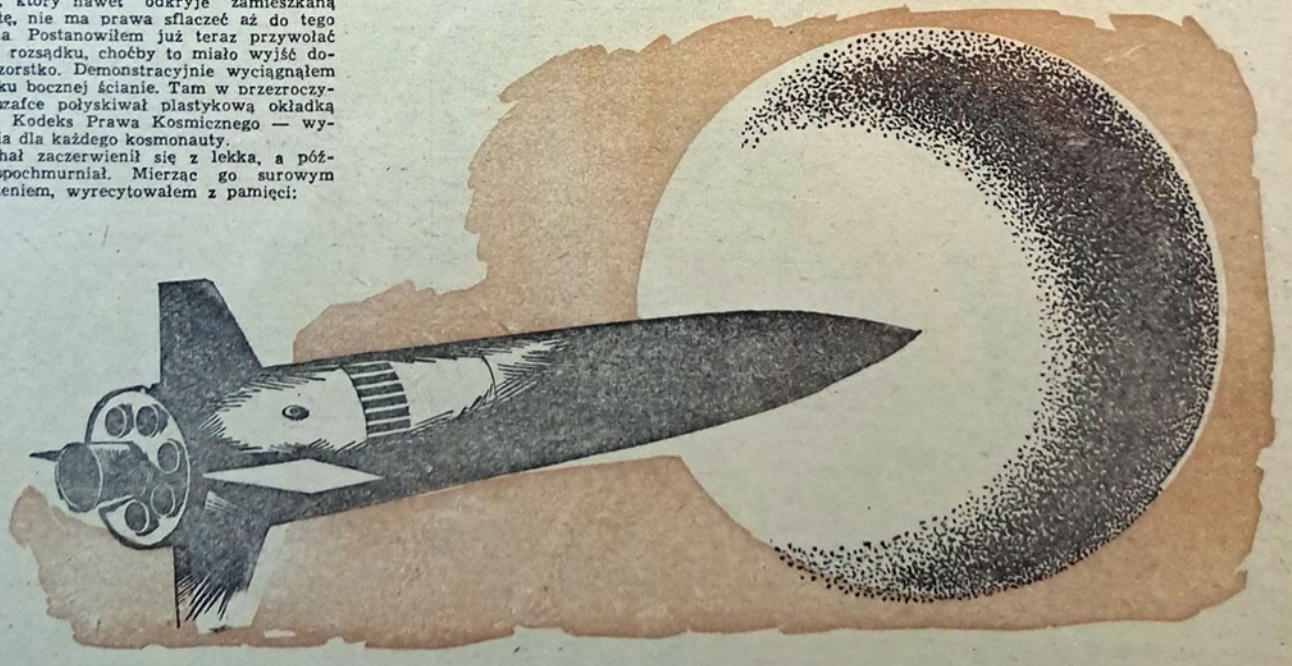

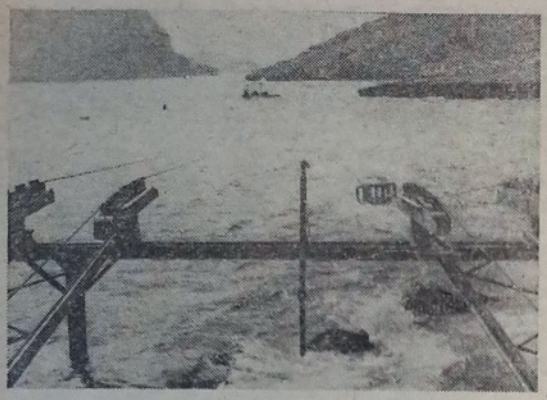

Stalowe liny prowadzą na dno śródziemnomorskiej zatoki.

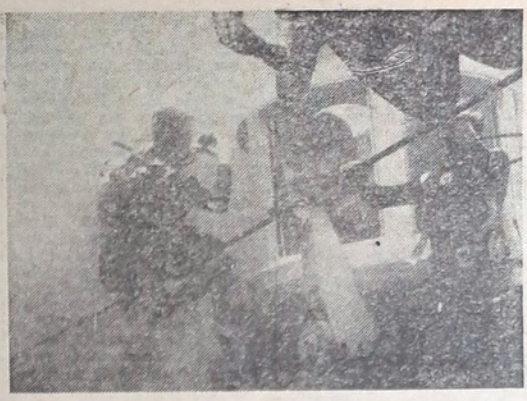

Nad bezpieczeństwem turystów czuwa ekipa płetwonurków.

Kolejką linową na dno morza

JAK wszystkim dobrze wiadomo, kolejki linowe służą turystom w górach, wznosząc łaknących wspaniałych widoków na szczyty. Tym razem jednak przedstawiamy wam jedyną chyba na świecie kolejkę linową, którą można opuścić się na dno morza. Ta niezwykła kolejka została zainstalowana w jednej z zatok Morza Śródziemnego, niedaleko francuskiego portu Marsylii. Atrakcja dla turystów jest wielka i przed kasami biletowymi jest prawie taki sam ogonek, jak przed kasą sprzedającą w Zakopanem miejscówki do kolejki na Kasprowy Wierch.

Wynalazcami oryginalnej kolejki na dno morza są dwaj Francuzi: płetwonurek James Couttet oraz konstruktor wielu wyciągów wysokogórskich — Denis Creissels. Prace przygotowawcze w zatoce trwały pięć lat, przyniosły jednak sukces. W tym roku, latem, pierwsi amatorzy silnych wrażeń mogli odbyć egzotyczną podróż.

Zasada działania podwodnej kolejki jest taka sama jak wyciągu wysokogórskiego — z tym tylko, że liny posuwające wodoszczelne wagoniki prowadzą w głębiny morskie. Podróż w wagoniku na dno zatoki trwa pełne 20 minut. Maksymalne zanurzenie nie przekracza 10 metrów.

Dotychczas, z podróży podwodnej skorzystało już 10 tysięcy turystów. Jednak w przyszłym roku konstruktorzy planują uruchomienie dodatkowych wodoszczelnych wagoników. Chcą też zgromadzić na dnie zatoki cały roślinny świat Morza Śródziemnego, pragną też ogrodzić zatokę specjalną siatką i zgromadzić w jej wodach setki okazów ryb. Zatoka stałaby się więc jakby naturalnym akwarium, w którym podróżowaliby miłośnicy podwodnych widoków.

Z. P.

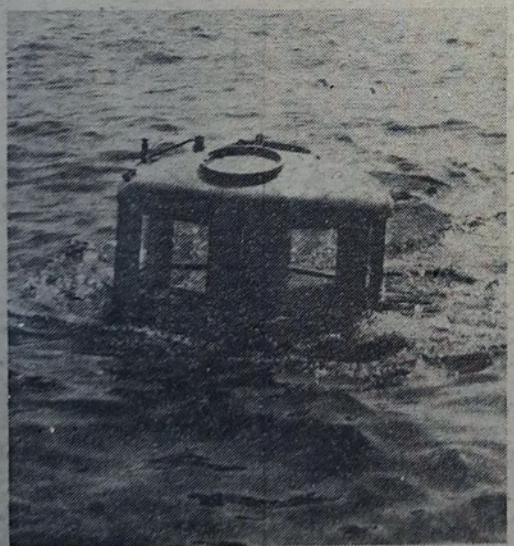

Wodoszczelny wagonik zanurza się w fale. W wagoniku może się zmieścić sześciu amatorów podwodnych wrażeń. Specjalne aparaty dostarczają ludziom tlenu do oddychania.

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

KRZYŻÓWKA

Poziomo: 1 — łódź płaskodenna; 4 — córka Zeusa, władczyni podziemi; 5 — letni płaszcz męski, sidła; 8 — liryczna forma literacka, w której wyrażone są wzniosłe uczucia; 10 — kraj w Afryce (stolica Nairobi); 11 — miasto w USA nad kanałem Ohio, lek na ból gardła; 13 — kraj w pd.-wsch. Azji (stolica Vientiane); 14 — rzeka w Europie; 17 — dzida, włócznia; 18 — inaczej georgina; 19 — gama złożona z dwóch całych tonów, inaczej tyfus brzuszny; 21 — rzeka w ZSRR; 24 — rozmyślnie działa na zwłokę; 25 — węglowodór nasycony, gaz zmieszany z powietrzem tworzy mieszaninę wybuchającą.

Pionowo: 1 — boczna strona statku, bok nasypu kolejowego; 2 — mówi się o nim, że czepia się psiego ogona; 3 — połączenie kilku dźwięków, forma wynagrodzenia za pracę; 5 — dowódca oddziałów najemnych w XIV i XV wieku; 6 — cieśnina między Półwyspem Bałkańskim, a Azją Mniejszą; 7 — rzeka w Polsce; 9 — dopływ Renu w Szwajcarii; 10 — wyrobnik, tragarz w krajach Azji Wschodniej (Chiny; 12 — jezioro w pd.wsch. Afryce; 15 — tył konia; 16 — rzeka w Polsce; 20 — przybrzeżna wyspa na Bałtyku (do Polski należy wschodni cypel wyspy, pozostała część do NRD); 22 — polityk, mówca i historyk (234 — 149 p.n.e.); człowiek o surowych obyczajach; 23 — stanowisko służbowe w stałym składzie pracowników.

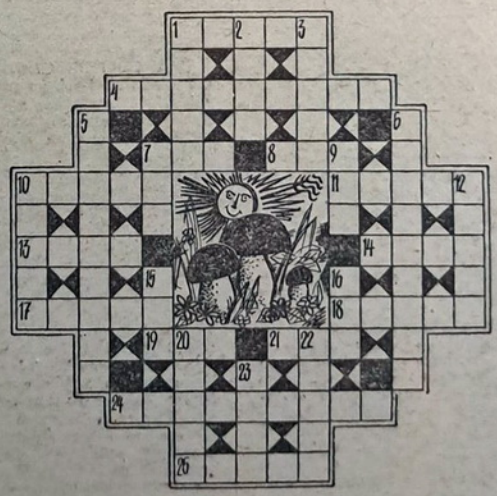

Rozwiązania należy przesyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na kartcie pocztowej lub kopercie: „Spróbuj rozwiązać".

Za trafne odpowiedzi będą rozlosowane nagrody książkowe.

Uwaga! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązania rozrywek umysłowych.

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół. Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-77-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa", WARSZAWA, ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna 12.00. Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch". Warszawa, ul. Wronia 23 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Zam 1412 T—48

Adres redakcji WARSZAWA, al. Mokotowska 24.

Pisane gęsim piórem

„EKSPONATÓW DOTYKAĆ NIE WOLNO". Kilkanaście dni temu byłam jednak w sytuacji zupełnie wyjątkowej. Za zgodą dyrektora Muzeum Wojska Polskiego znalazłam się wśród zgromadzonych z całej Polski pamiątek po Kościuszce w momencie, gdy wystawę dopiero organizowano.

W salach było cicho, jeszcze ciszej niż zwykle, a ja mogłam zajrzeć do pism Naczelnika, nie leżących jeszcze pod szkłem gablot. Patrzyłam na przelamane przed dwustu laty pieczęcie i bezszelestnie, starając się prawie nie dotykać ich palcami odwracałam stronice listów i dokumentów, zapisanych nieco już spłowiałym atramentem. Papier miał niezupełnie gładką powierzchnię i nierówne brzegi. Listy zaś pozbawione były kopert. Według ówczesnego zwyczaju wkładano je nie zapisaną stroną na wierzch i zabezpieczano przed okiem niepowołanych lakowymi pieczęciami.

Zajrzałam też do dziennika szkolnego Szkoły Ojców Pijarów w Lebieszowie, w której 11-letni Tadeusz rozpoczął naukę. W zeszycie tym znalazłam stronicę, na której kilkunastoletni Kościuszko próbował świeżo zatemperowanego gęsiego pióra. Kilka wyrazów napisał po grecku. Ten stary zeszyt zapewne wiele lat przeleżał w jednej z szuflad siechnowickiego domu, w rodzinnym majątku Tadeusza Kościuszki. Przeglądałam listy Tadeusza, adresowane do jego siostry, do przyjaciół. Pisał je nie tylko po polsku, ale i po francusku i po angielsku. Niektóre noszą podpis T. Bieda. Pisane były w czasie, gdy generał Kościuszko, po przystąpieniu króla do Targowicy, poprosił o dymisję i wyjechał na emigrację. T. Bieda, to konspiracyjne nazwisko Kościuszki. Przy okazji warto wiedzieć, że pełne nazwisko Naczelnika brzmiało: Andrzej Tadeusz Bonawentura Kościuszko Siechnowicz.

„Dotrzymamy wierności"

JEST ROK 1794, marzec. Wiadomość o redukcji wojska polskiego (Polska jest po drugim zabo-

rzeł) przyśpiesza wybuch powstania. 23 marca Kościuszko przyjeżdża do Krakowa, aby objąć władzę Najwyższego Naczelnika Siły Zbrojnej Narodowej. 24 marca zostaje ogłoszony akt powstania. Po powrocie z Krakowskiego Rynku, gdzie składał przysięgę narodowi, Naczelnik pisze trzy wezwania: do żołnierzy, obywateli i kobiet polskich. Pochylam się nad wezwaniem do żołnierzy, pisanym przez Naczelnika własnoręcznie. Przepisuję pierwsze zdanie:

„Przysięgaliśmy koledzy nieraz ojczyźnie naszej być wiernymi, daliśmy tego dowód, dotrzymamy jej jeszcze tej wierności teraz".

Tadeusz Kościuszko jest już doświadczonym wodzem, ma za sobą zwycięską wojnę Stanów Zjednoczonych i wie, jaka ciężka walka czeka Polaków... Carska armia jest bez porównania silniejsza. Polacy są źle uzbrojeni, nie mają armat, brakuje nawet sukna na mundury... W wiejskich kuźniach, na terenach objętych powstaniem kuje się więc kosy. Naczelnik rozkazuje uruchomić młyny prochowe i ludwisarnie. Sam ustala typy dział. Troszczy się o żołnierskie ubrania, o odpowiednie siodła dla koni, zdaje sobie doskonale sprawę, że z samą szlachtą nie zwycięży. Powołuje chłopskie oddziały kosynierów i sam ich prowadzi pod Racławicami na carskie armaty...

Oglądam sporządzone przez Kościuszkę zestawienia wojsk carskich i polskich. Armia wroga jest doskonale wyposażona, wojsko o wiele liczniejsze... Pod Szczekocinami carskich żołnierzy jest o 12 tysięcy więcej niż Polaków!... Powstanie jednak obejmuje coraz większy zasięg. Już Warszawa jest wolna. Kościuszko ogłasza Manifest Połaniecki — znosi przywiązanie chłopów do ziemi i zmniejsza im pańszczyznę. Jest to akt, jak na owe czasy, bardzo odważny. Powstanie trwa już 7 miesięcy.

Październikowy ranek

NA CHWILĘ ODCHODZĘ od listów i pism Naczelnika. Sięgam po pamiętnik jego sekretarza — Juliana Ursyna Niemcewicza.

6 października wczesnym rankiem Tadeusz Kościuszko opuszcza swoją kwaterę na Mokotowie i w towarzystwie tylko jednego człowieka — Niemcewicza — udaje się, zmieniając po drodze konie, w stronę wojsk polskich. Trzeba zagrodzić drogę armii Fersena i Denisowa, maszerującej na Warszawę. Kościuszko ma już ponad 50 lat, siedząc na końskim grzbiecie, przebywa w 11 godzin sto kilkanaście kilometrów. O godz. 16-ej jest już pod Okrzeją, w obozie Sierakowskiego. Mija 7 października, ósmego leje ulewny, jesienny deszcz. Następny dzień wstaje słoneczny. Pod wieczór, gdy słońce już zaczyna się chować, polskie oddziały zajmują wyznaczone stanowiska pod Maciejowicami. Naczelnik osobiście wybiera pozycje dla dział, dozoruje przy sypaniu szańców. Zapada noc i znów zaczyna siąpić październikowy deszcz. Kościuszkowscy żołnierze biwakują z bronią w ręku. W kwaterze Naczelnika światło nie gaśnie. Niemcewicz, chcąc na chwilę myśli Naczelnika odciągnąć od jutrzejszej bitwy, wyszukuje zabawne fragmenty ze znalezionych przypadkiem starych gazet i głośno je czyta. O w pół do drugiej w nocy Kościuszko dyktuje Niemcewiczowi rozkaz dla gene-

rała Ponińskiego, nakazując mu pospieszny marsz w stronę Maciejowic.

O świcie 10 października carskie wojsko rusza do natarcia. Naczelnik sam kieruje ogniem polskich dział w baterii Kniaziewicza. Armia carska jest dwakroć silniejsza. Ogień jej dział razi Polaków. Potem atakuje piechota, kozacy... słabnie opór Polaków. Zaciska się obręcz, a generał Poniński z pomocą nie nadciąga... Na łamiącej się linii frontu pojawia się Kościuszko, chce osłonić odwrót. Bezskutecznie. Znów są Kozacy, ich piki ranią Naczelnego Wodza, ostrze pałasza tnie go w głowę, Naczelnik pada nieprzytomny... Kiedy obudzi się z omdlenia i poprosi o wodę, będzie już jeńcem. Do Polski już nigdy nie powróci...

Ten portret Tadeusza Kościuszki pochodzi z okresu jego walk o wolność Stanów Zjednoczonych. Kościuszko ze stopniem generała-brygadiera powrócił z Ameryki do Europy w 1784 roku.

Testament

W MUZEUM zgromadzono wizerunki rodziców przyszłego Naczelnika, piękne obrazki wykonane przez samego Kościuszkę i jego portrety malowane przez wielu malarzy. Ostatni pokazuje Kościuszkę już jako starca. Mieszka wtedy w Szwajcarii i ma przeszło 70 lat. Każdego dnia odbywa jeszcze konną przejażdżkę. Patrzę na siodło, pochodzące z tego okresu. A później znów wracam do jego listów. Odczytuję testament amerykański, w którym Tadeusz Kościuszko zapisuje swój majątek, nadany mu przez Stany Zjednoczone w Ameryce, na wykupienie z niewoli Murzynów i stworzenie dla nich szkoły. Drugi testament pisze Kościuszko w Szwajcarii. Uwłaszcza chłopów w rodzinnym majątku Siechnowicze.

Oglądam jeszcze kilka drobiazgów, pamiątek po Naczelniku. Zachowała się jego czapka, portfel, szachy, tabakierki i cukiernica, prawdopodobnie zrobiona przez niego w petersburskim więzieniu. Jest jeszcze szabla, która nie zdołał wywalczyć dla Polski wolności, lecz którą Polskę od „hańby uchronił".

A. GRZYBOWIECKA
Rys. M. Kościelniak

Urna z sercem Naczelnika i sztandary, które nosiło jego wojsko w czasie powstania 1794 roku. Pod napisem: „Żywią y Bronią" wyhaftowane są piła i kosa, broń, w którą musiał Kościuszko zaopatrzyć swoich żołnierzy z powodu niedostatku broni palnej. Chorągiew tę haftowały warszawskie mieszczki. Słowa „Żywią y Bronią" odnoszą się do chłopów walczących w powstaniu.

Foto CAF